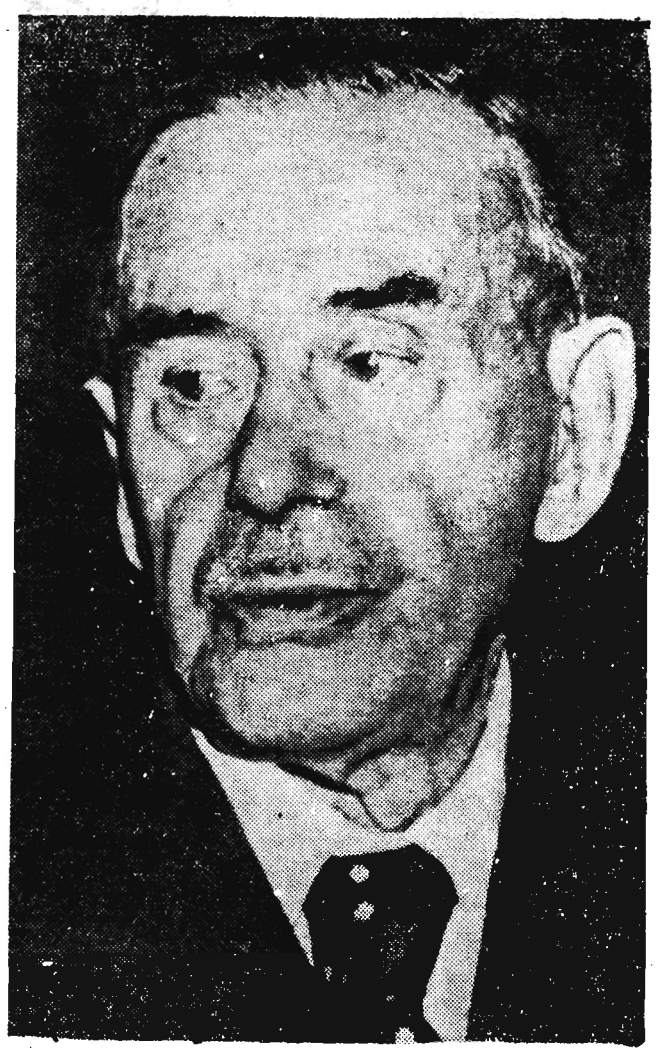

Tomasz Mann wielki pisarz humanista

Śmierć Tomasza Manna, największego pisarza naszej epoki, jest wydarzeniem obchodzącym nie tylko naród niemiecki ale całą ludzkość. Był bowiem wielki pisarz sumieniem współczesności jako nieustraszony bojownik ideałów prawd, sprawiedliwości i wolności.

W Tomaszu Mannie łączy się najpiękniejsza humanistyczna tradycja ze stałym dążeniem do postępu. Jego bogata twórczość od **„Buddenbroocków"** do **„Feliksa Krulla"** zawiera dzieła o nieprzemijającej wartości. Dał w nich wspaniały obraz życia swego narodu i stworzył całą galerię niezapomnianych postaci.

W pierwszej wielkiej powieści **„Buddenbroockowie"** (r. 1901) przedstawia upadek starego mieszczaństwa niemieckiego w tragicznej kronice czterech pokoleń rodziny Buddenbroocków. O ile pierwsze pokolenie odznacza się jeszcze dzielnością, przedsiębiorczością i energią, ostatnie charakteryzuje zanik woli i energii, rozkochanie w marzeniach i cierpieniach i chorobliwe zatapianie się w muzycznych misteriach.

Tomasz Mann wyrósł z mieszczaństwa niemieckiego i był z nim ścisle związany. Ale jego pojęcie mieszczaństwa odbiegało od rzeczywistości, którą widział i którą znał od wczesnej młodości. W wyższym jeszcze stopniu aniżeli Buddenbroockowie dowodem niechęci wielkiego pisarza do mieszczaństwa jest wielka powieść **„Czarodziejska góra"** (r. 1924), w której obserwujemy rozkład burżuazji jako następstwo niszczycielskiego działania ustroju kapitalistycznego. Pisarz przenosi swoich bohaterów do miejscowości klimatycznej Daros, w Szwajcarii, gdzie w sanatorium gruźliczym poddaje klinicznej obserwacji nie tylko ich stan chorobowy ale i życie psychiczne. Autor ukazuje wszystkie wady burżuazyjnego świata, które występują wyraźniej i ostrzej w zamkniętym kręgu leczniczego sanatorium.

Punktem centralnym powieści jest dyskusja między Settembrinim, rzecznikiem burżuazyjnej demokracji a zaciekłym wstecznikiem, jezuitą Naptą. W rozwlekłej i burzliwej wymianie zdań obaj dyskutanci omawiają główne zagadnienia polityczne, społeczne, intelektualne i etyczne współczesnej im epoki.

O ile **„Czarodziejska góra"** była krytyką dekadentyzmu burżuazji weimarskiej epoki, to **„Doktor Faustus"** oznaczał odwrócenie się i zerwanie Tomasza Manna z niemieckim faszyzmem. Jego namiętny antyfaszyzm i emigracja z ojczyzny w tym czasie nie oznaczały jednak zerwania z Niemcami, z prawdziwymi Niemcami, dla których zawsze biło jego serce. Były protestem moralnym, walką z faszystowską nocą, a jego głos był równocześnie głosem miłości dla ojczyzny i ludzkości cierpiącej pod jarzmem faszyzmu.

Tragedię Niemiec faszystowskich może najpełniej przedstawił Mann w powieści pt. **„Wybrany"** (Der Erwählte), którą oparł na średniowiecznej legendzie. Legenda ta opowiada jak Gregoriusz, bohater powieści, potomek kazirodczej rodziny, nieświadomie niby starożytny Edyp poślubia własną matkę, a poznawszy swój błąd odprawia pokutę na samotnej wyspie. Po siedemnastu latach pokuty zostaje wybrany papieżem i duchowym namiestnikiem na ziemi.

Powieść ma na celu przedstawienie winy narodu niemieckiego, który za popełnione w okresie faszystowskich rządów zbrodnie musi ponieść karę i pokutę, aby być przyjętym z powrotem do wspólnoty narodów.

Ostatnią powieścią Tomasza Manna wydaną po wojnie, są **„Wyznania hochsztaplera Krulla"**, w których w sposób pogodny i z dużą dozą humoru przedstawia autor społeczeństwo burżuazyjne wychowujące młodego Feliksa na oszusta i przestępcę, który tylko w tej roli może się cieszyć pełnią życia.

Jest jeszcze Tomasz Mann autorem wielu utworów od młodzieńczego **„Tonio Krögera"** i tuż przed wojną wydanej psychologicznej powieści **„Śmierć w Wenecji"** do tetralogii **„Józef i jego bracia"** i po wojnie napisanej na emigracji opowieści pt. **„Lotty w Weimarze"**. We wszystkich tych powieściach jest Tomasz Mann nieomylnym znawcą duszy ludzkiej, myślicielem i wielkim artystą.

Tomasz Mann po przewrocie faszystowskim w Niemczech przebywał na emigracji, najpierw w Szwajcarii, potem w Ameryce i znowu w Szwajcarii, gdzie ostatecznie osiadł, przyjmując obywatelstwo tego kraju. Zamieszkał w Kilchbergu nad jeziorem Zuryskim nie prze-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Sztuka nie zna granic

Nie śpiewam, a jeżeli śpiewam to podobno fałszuję w okropny sposób, nie gram na żadnym instrumencie, nie lubię muzyki poważnej tylko tzw. muzykę „użytkową" bowiem lubię tańczyć, konkursem Chopinowskim interesowałam się o tyle o ile, to znaczy czytałam recenzje aby się zorientować kto ma szanse zdobyć I miejsce zwłaszcza, że Adam Harasiewicz z Rzeszowa więc wiadomo — patriotyzm lokalny. W dyskusjach na temat muzyki „wysiadam" i nie zabieram głosu. Zresztą cóż to obchodzi czytelnika, co ja właśnie lubię, a czego nie lubię i czym się interesuję. Takich jak ja jest wiele.

Od pewnej chwili nastąpił jednak we mnie przełom. Postanowiłam interesować się właśnie muzyką poważną, chcę ją rozumieć, a czego człowiek nie dokona jeśli chce, zwłaszcza po rozmowie z Żu-Hunem.

Ostatnio rozbiła się bania z gośćmi, z czego mieszkańcy naszego województwa są bardzo zadowoleni. Gościli u nas niedawno sportowcy koreańscy, którzy rozegrali mecz z reprezentacją Rzeszowa. A ostatnio przyjechał zespół cyrkowy z Pekinu, ze znanym kompozytorem chińskim, zastępcą dyrektora Młodzieżowego Teatru w Pekinie, Żu-Hunem.

Niedziela, pogoda dopisała, upał. Nasi goście wyjechali na niedzielne wczasy do Czudca. Wisłok, las, jesteśmy na moście.

— Tu mógłbym stać godzinami, jest pięknie, tak Polskę wyobrażałem sobie jeszcze przed wojną grając utwory Chopina — mówi kompozytor Żu-Hun. I taką sobie ją właśnie wyobrażałem jaką w tej chwili widzę.

Zazdroszczę Żu-Hunowi, ja sobie Chin nie wyobrażałam, ani przez muzykę Sie-Siu-Haja, ani Niu-ela, wiem tylko, że tacy muzycy w Chinach byli. Znam Chiny tylko z książek i jak się przekonałam, wiem o nich niewiele. Wiem, że klasyczna opera chińska zdobyła I miejsce na konkursie w Paryżu, nie miałam jednak okazji być ani w operze, ani w teatrze chińskim. Czytałam, że aktorzy występują w maskach, że wyobrażają postacie dobre i złe poprzez piękno i brzydotę. Dobre — piękne, złe — brzydkie.

Czy teraz coś się zmieniło?

— Tak — odpowiada mi Żu-Hun. Dawniej postaciami pięknymi, czyli dobrymi byli feudałowie, panowie. Brzydkie postaci to ich słudzy, chłopi. Dziś jest odwrotnie.

Wiem również, że wiele tysięcy Chińczyków umierało rocznie z głodu. Wyzysk kapitału obcego utrzymywał ich w ciemnocie. Dziś Chińczycy pracują dla siebie. Chociaż jeszcze nie jest im dobrze. Trudno kilkuwiekowe zaniedbania nadrobić w tak krótkim czasie.

Cyrk chiński ma swoje tradycje i znany jest na całym świecie.

Jesteśmy na występie chińskiej grupy cyrkowej w rzeszowskim Domu Kultury. Podziwiamy Czou-Dzy-czena imitującego dźwięki z otoczenia. A najbardziej chyba podobały się naszym widzom wykonane z wielką precyzją wirujące talerze, typowa sztuka chińska mało znana w Polsce, mająca swoje tradycje w Chinach i żywa piramida. Podziwiamy zręczność, szybkość, precyzję wykonania.

Po występie nasi goście zmęczeni nocną podróżą z Łodzi i występami wracają do hotelu.

Co nas specjalnie uderza u Chińczyków? Ta przysłowiowa skromność chińska. Nie ma tej „dumy" i zarozumiałości, która niestety cechuje jeszcze niektórych artystów naszych teatrów. Jeden z mieszkańców Rzeszowa po dwudniowym pobycie z grupą cyrkową powiedział, że gdyby się drugi raz żenił (liczy mniej więcej około 50 lat) to wziąłby za żonę Chinkę, bowiem ta mało je i pije, oraz nosi suknie wąskie, więc oszczędność w materiale. „Dobry żart tynfa wart". Materiał na żonę wymarzony, oczywiście żonę w znaczeniu oszczędnej gospodyni.

Jedziemy do Mielca. Tu zespół cyrkowy miał wystąpić tylko jeden raz. To stanowczo za mało. No, ale artyści zmęczeni — tłumaczy opiekun z Warszawy kierownikowi Domu Kultury. Trudno... Nie, oni nie są zmęczeni, prostuje z przesadną uprzejmością Żu-Hun — oni są szczęśliwi, że mogą występować, więc jeszcze raz wystąpią. My natomiast rozmawiamy z kierownikiem grupy Żu-Hunem na ławeczce na tzw. Placu Centralnym koło Domu Kultury w Mielcu. Z głośnika rozbrzmiewa popularna i znana wszystkim „Kukułeczka", w wykonaniu „Mazowsza". Sygietyński — mówi w pewnym momencie Żu-Hun i zaczyna nucić i inne jego piosenki. Wymienia kilku kompozytorów polskich, ZSRR, kilku znanych śpiewaków. Śpiewamy nasze regionalne rzeszowskie melodie, nawet ja śpiewam, nasz gość pojmuje w mig i za chwilę nuci z nami. Porozumieliśmy się bez słów. Muzyka łączy. Znów przypominam sobie poprzednie zdanie: „Wyobrażałem sobie Polskę grając utwory Chopina, a teraz ją poznaję". Poznaje nasz gość życie ludu polskiego, jego pracę i dorobek kulturalny. Nasuwa się w tej chwili jeden wniosek: wymiana kulturalna łączy narody. Snujemy o danym kraju wyobrażenia, rodzi się w nas nieodparta chęć poznania tego kraju. Późną nocą goście wracają do swego hotelu w Rzeszowie.

Być w Warszawie, nie oglądnąć Pałacu Kultury i Nauki — powiadają — tak samo być w Rzeszowie nie zobaczyć Muzeum w Łańcucie — to niemożliwe. Toteż nasi goście zwiedzili Muzeum, z czego byli bardzo zadowoleni. Siadamy na trawie w parku, pytamy o wrażenia. Najbardziej podobały się naszym gościom podłogi i drzwi wykonane przez majstrów prawdopodobnie Wolbuszowskich. Należy podziwiać dokładność i artyzm wykonania — powiedział Żu-Hun. Wszyscy czekamy na wrażenia, jakie wywarł pokój chiński na naszych gościach. A więc pokój chiński im się nie podobał. To nie jest typowe chińskie urządzenie, a raczej przypadkowa zbieranina nie odzwierciedlająca kultury narodu chińskiego. Wazy też nie ładne. To nie prawdziwa sztuka narodu chińskiego. Wasz magnat miał wypaczony gust — śmiejąc się mówi Żu-Hun. Nie rozumiał kultury chińskiej. Przyjedźcie do nas — zobaczycie naszą sztukę, a będziecie mieli takie same zdanie. Serdecznie zapraszamy.

W pewnym momencie nasi goście wstają i szukają pielęgniarki. Co się stało? Ach, to nasze poczciwe mrówki nie zważając na niedopowiedzianą chwilę pogryzły naszych gości. Okazało się, że siedzimy na mrowisku. A to bestie, gryzą nawet gości.

Zwiedzamy park, powozownię. To największy zbiór powozów w Europie — tłumaczy przewodnik. Czy największy? Podobno nie. To powóz ślubny, tym Potoccy jeździli na polowania. A więc siadajmy i do parku. Będziemy bezpieczni od mrówek — ktoś dorzuca.

Grupa cyrkowa z Chin występowała jeszcze w Stalowej Woli.

— Podziwiamy Wasz rozmach budownictwa — mówi Żu-Hun na pożegnanie. — Wy tworzycie rzeczy duże, a my jeszcze małe. Chodzi o ciężki przemysł. Ale i my w tej 5-latce będziemy tworzyć rzeczy duże. A więc powodzenia w pracy. Serdeczne uściski dłoni i nasi goście odjeżdżają.

S. Dubyk.

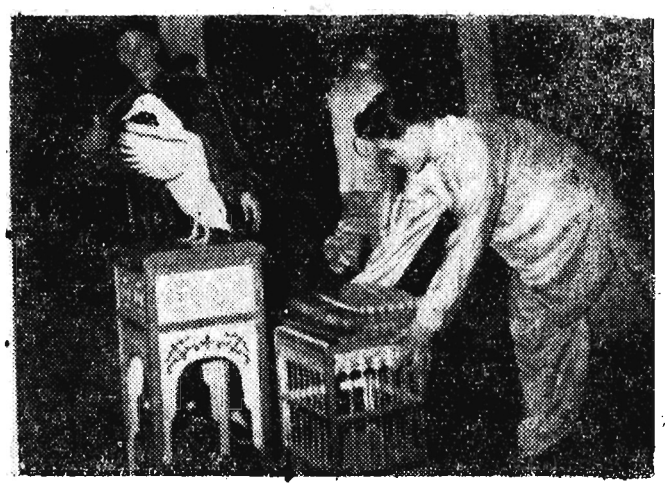

Iluzjonista Len Siać-tin „czaruje".

Bąk w wykonaniu Wan Huei-in.

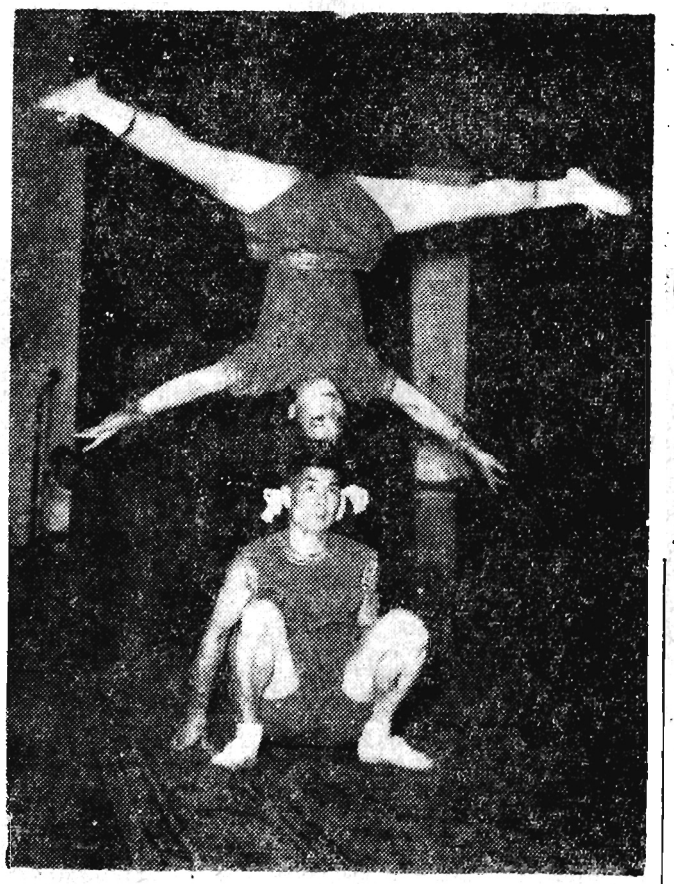

Burzą oklasków przyjmowali widzowie żywą piramidę w wykonaniu artystów: Czen Lien-szen, Czen Lien-yi, Czen Lien-kuei i Czen Lien-dziun.
Na zdjęciu: Fragment żywej piramidy.

Rok IV Rzeszów, 27. 8. 1955 r. Nr 32 (278)

Nowiny Tygodnia

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich"

Dziś w numerze:

E. J. — Co dalej...

ST. PETERS — Narodziny najpopularniejszego podręcznika

W. GŁOWACZ — „Przyjaciele" w teatrze „Fredreum"

E. BIAŁOBORSKI — Kongres astronautyczny

Co dalej

Andrzej Brzoza upił się po prostu — zwycięstwem, wolnością i ziemią, aż zaszumiało w tej zapalonej głowie, gdy jednego wiosennego dnia ucichło dudnienie armat, a z hitlerowców nie zostało nawet śladów. Nie jemu zresztą tylko, szumiało w głowie. Ten, kto przeżywał radość zwycięstwa, na pewno to zrozumie.

Do radości dołączyła się jeszcze pycha, bo przecież Andrzej Brzoza nie czekał z założonymi rękami, walczył z najeźdźcą wspólnie z towarzyszami z PPR-u. Niejeden wtedy nawet zazdrościł Brzozie jego sławy. Takemu to teraz ino żyć — szeptano po Zaciszu i okolicy.

Tak samo zresztą myślał Andrzej Brzoza. Mówił wtedy — rozparcelujemy jeszcze pańskie dwory i życie popłynie o taaak... Chyba znacie ten gest — zgięty łokieć podniesiony do góry. Pańskie dwory rozparcelowano w całym województwie, rozparcelowano również w Zaciszu. Miejscowa biedota otrzymała upragnioną ziemię. Otrzymał ją wtedy Brzoza, Filip, Bugajowie i inni. Została resztówka z dużym domem, budynkami gospodarczymi, ogrodem i sadem. Brzoza ją wydzierżawił.

Sprowadził rodzinę i zaczął gospodarzyć. Rodzinę miał niewielką. Rąk do pracy brakowało. Zresztą co tu dużo mówić, nie pociągała Brzozy żadna robota — on odpoczywał po trudach wojny i walki.

Kawał po kawałku ziemi wydzierżawiał. Jeszcze w samym wydzierżawianiu nie byłoby żadnego „grzechu", ale Brzoza wydzierżawiał ziemię za odrobek. Bugajowa za pasienie krowy na rowie odrabiała, inni za wydzierżawiony zagon również. Brzozie dobrze się żyło, roboty nie miał za dużo, pieniędzy nie brakowało, toteż papierosy pod drzewem palił, z ludźmi pogadał, ostro wrogów władzy ludowej krytykował. I tak dni mijały za dniami.

Tymczasem w Zaciszu zaczęła krążyć pogłoska, że w resztówce to się tylko rządca zmienił... Atmosfera przypominała dawny dwór i ekonoma.

Trwało tak chyba dwa lata, do Brzozy przyjeżdżali to wałcysze dawnych walk, politykowano trochę, zaczęto mówić o założeniu spółdzielni produkcyjnej.

— Andrzej — mówiono wtedy, kto jak kto, ale jak ty podpiszesz deklarację, to podpiszą inni.

Brzozie pochlebiały te słowa — co tu dużo mówić, był próżny. Odpowiadało to jego ambicji — chciał być bohaterem.

Podpiszę — odpowiadał. I podpisał. Podpisali też za jego przykładem inni. Ale o pozostałych metodach zakładania spółdzielni produkcyjnej w Zaciszu nie warto dziś wspominać...

Powstała spółdzielnia produkcyjna. Teraz duże pofolwarczne budynki mogły lepiej spełnić swoje przeznaczenie. Co prawda Brzoza je dzierżawił, ale była to sprawa do załatwienia. Zresztą Brzoza z Zacisza odchodził. Trochę się co prawda we wsi dziwiono, że odchodzi w momencie, gdy młodej spółdzielni trzeba było dużo serdecznej pomocy — Brzoza jechał teraz wskazywać innym chłopom drogę przejścia do gospodarki kolektywnej. Został powołany na kierownika Wydziału Politycznego POM w Antonówce.

Wydawać się mogło, że Brzozie rzucono pomost, po którym będzie mógł wrócić na drogę, z której zboczył, że otoczony opieką w codziennej trudnej pracy będzie wcielał w życie wskazania partii.

Można sądzić, że ci, którzy podpisywali nominację Brzozy na dyrektora POM chcieli w ten sposób mu pomóc, może myślano przy tym: zmienimy Brzozie otoczenie, oderwiemy go od resztówki (inaczej od „dziedzicowania") i w ten sposób ten stary działacz partyjny znajdzie właściwą drogę.

Możliwe, że... ale po co bawić się w dociekania. Niech mówią fakty.

Andrzej Brzoza poszedł na nowe stanowisko obciążony tak obcym dla członka partii zarozumialstwem, pyszałkowatością. Nikt a już przede wszystkim podstawowa organizacja partyjna nie pomogła mu dostrzec wypaczeń, poszedł ufny w swoją mądrość i jak mu się zdawało, otoczony powszechnym szacunkiem.

A członkowie podstawowej organizacji odetchnęli wraz z jego odejściem.

Początkowo nic nie wskazywało, że do dawnych błędów Brzozy dochodzą nowe. Praca w POM szła nienajgorzej, a sam Brzoza mógł każdemu, kto się tym interesował na specjalnej mapie oznaczonej chorągiewkami pokazać, gdzie który ciągnik pracuje.

Pozornie: sztab bojowy — dowództwo pierwszego frontu bitwy o nową socjalistyczną wieś.

Ale po wyjściu z pokoju dyrektora nasuwały się refleksje: czy aby tak w terenie ładnie wygląda, jak faktycznie pracują POM-owscy traktorzyści.

Jedziemy więc z Andrzejem Brzozą do jednej ze spółdzielni. Lato było tego roku piękne, upalne, zboża aż zbielały w słońcu. Nie wiem czy dokładnie w miejscu oznaczonym chorągiewką na mapie pracował „Zetor", ale spod drzew dolatywał miarowy stukot motorów. Robota jednak nie szła.

Spółdzielcy rozłożyli się w cieniu drzew, traktorzyści markotnie skrobali się po głowach.

Okazało się, że przyczyną postoju było powalone w środku olbrzymiego łanu zboże. Na taką „niespodziankę" nie byli przygotowani spółdzielcy.

Andrzej zaklął bardzo brzydko, kazał biec po kosy. A kiedy wreszcie przyniesiono parę sztuk bez kabłąków, pozwalających na równe cięcie, jedną z nich schwycił i sam stanął do koszenia.

Szeroki zamach ramion — kosa zanurzyła się w złocistej masie i utknęła, wbiła się ostrzem w ziemię. Brzoza szarpnął... ułamał się trzonek kosy, kosa z brzękiem pękła. Brzoza poczerwieniał na twarzy, a spółdzielcy śmiali się do łez.

To nie tak Andrzeju trzeba było zrobić. Wy jeden — złą, nieprzygotowaną do tego celu kosą, nie dalibyście rady wykosić całego łanu położonego zboża.

Osobisty przykład? To jest niewątpliwie ważne, ale spółdzielcy potrzebowali od Was innej pomocy. Wtedy krótka narada, odpowiednie przygotowanie sprzętu i ludzi więcej pomogłoby.

Wtedy zrozumiałam, dlaczego tak jest. Brzoza nie uczył się. Ze zmienionych warunków nie wyciągnął dla siebie żadnych wniosków. A nagromadzony kapitał szybko topniał — pozostawał coraz bardziej w tyle.

Potem był sekretarzem Komitetu Gminnego partii. Potem... po paru latach wrócił Andrzej Brzoza z powrotem do Zacisza. Był to okres, kiedy spółdzielnia przeżywała szczególne trudności.

— Towarzyszu Brzoza, w Zaciszu potrzebna jest Wasza obecność, powiedziano mu wtedy w KP — słowa te brzmiały niemal jak polecenie partyjne, wyglądało to tak, jakby Brzozę, tego wypróbowanego członka posyłano na nowy zagrożony odcinek.

Czy tak powinna ta rozmowa brzmieć?

Czy nie lepiej było powiedzieć — towarzyszu Brzoza, zdejmujemy Was ze stanowiska sekretarza komitetu gminnego, gdyż źle wywiązujecie się ze swych obowiązków. Wracacie do Zacisza, gdzie macie dużo przyjaciół — oni i my Wam pomożemy wrócić na właściwą drogę.

Brzoza wrócił do zaciszańskiej spółdzielni. — Tam go nawet wybrano do zarządu. Dni schodziły mu na pokrzykiwaniu, krytykowaniu, później jednak mu to wszystko zbrzydło i nie wychodził nawet w pole. Towarzysze z zaciszańskiej organizacji partyjnej po dawnemu patrzyli przez palce na jego postępowanie. „Taki" (tzw. aktywista) wie chyba co robi — mówili.

A z nim było coraz gorzej, coraz głębiej brnął w swych błędach. Już i jego żona zaczęła wnosić prośbę po prośbie, by zwrócić jej ziemię wniesioną do spółdzielni produkcyjnej, a on na te fakty nie reagował, oddalał się od partii coraz bardziej.

Był wreszcie jeden moment, zdawało się członkom organizacji partyjnej, że Brzoza przełamał się. Zabrał się do roboty w chlewni spółdzielczej, wygrażając się przy tym: „Jeszcze Wam pokażę co ja potrafię".

W ciągu krótkiego czasu tak zapasł maciory, że trzeba było je sprzedać na obowiązkowe dostawy. W ciągu 4 miesięcy spasł przeszło 100 q ziemniaków. Cielęta wyglądały jakby je ktoś z wody wyciągnął — tylko sierść na nich sterczała, gnój obrastał je po prostu.

A każdą wolną chwilę wypełniał „krytyką", a ten to zrobił, a tamta owo... Rozgorzały swary, których i tak nie brakowało. Ludzie zaczęli się wzajemnie nienawidzieć. A tymczasem kartofle topniały, chlewnia podupadała, a z nią cała spółdzielcza gospodarka. Andrzej Brzoza nie jest już członkiem spółdzielni. Na walnym zebraniu usunięto go jako szkodnika. Nie bardzo się zresztą tym przejął.

Przyszedł jednak dzień, kiedy Brzozie włosy dębem stanęły, gdy uświadomił sobie — cały ogrom błędów swego postępowania. Dnia tego — oddawał legitymację partyjną.

Tę legitymację, którą się tak chełpił, z której był dumny. Nie był godnym jej posiadania — tak orzekli członkowie podstawowej organizacji partyjnej. W ten sposób zerwana została oficjalna więź Brzozy z partią.

— Poruszę niebo i ziemię a legitymację partyjną muszę otrzymać z powrotem — „ślubował" sobie Brzoza. I bodaj nie ma już instancji partyjnej, do której Brzoza nie wniósłby odwołania od decyzji podstawowej organizacji partyjnej.

Być może, że otrzyma ją... ale co dalej... towarzysze z zaciszańskiej organizacji partyjnej i KP?

Wszak Andrzej Brzoza potrzebuje teraz szczególnie troskliwej pomocy.

E. J.

Tomasz Mann wielki pisarz humanista

(Ciąg dalszy ze str. 1)

stając myśleć o swojej ojczyźnie. Zarówno bowiem z Szwajcarii jak i z Ameryki przemawia w czasie ostatniej wojny do narodu niemieckiego piętnując jego zbrodnie i nawołując do zejścia z drogi mordu i zbiorowego szaleństwa. Przemawia i później w duchu zjednoczenia Niemiec, konieczności odrodzenia moralnego narodu, demokracji i pokoju.

Kiedy nastaje rok 1949, a więc rok Goethego, Mann przybywa do Niemiec na uroczystości poświęcone pamięci największego poety niemieckiego. Przemawia najpierw we Frankfurcie, mieście rodzinnym Goethego, a potem w Weimarze. Spotykają go z tego powodu obelgi ze strony neofaszystów, zarzucających mu paktowanie z komunistami. Wobec kampanii antykomunistycznej prasy zachodniej wypowiada Mann słowa, które obecnie mają już dziejowe znaczenie: **„Antykomunizm, to zasadnicza bzdura".**

Po raz drugi i ostatni w swym życiu odbywa Tomasz Mann podróż po Niemczech w maju 1955 roku, aby wygłosić tu mowę ku czci Schillera w stupięćdziesięcioletnią rocznicę jego urodzin. Wygłasza ją najpierw w Stuttgarcie, w Niemczech zachodnich, a potem w Weimarze przemawiając w ten sposób do wszystkich Niemców.

Przedstawia Mann w swym odczycie Schillera jako wyraziciela najczystszej idei człowieczeństwa, której zaprzeczeniem wydaje się wielkiemu humaniście nasza współczesność.

Jest coś niezwykle podniosłego w tych niemal ostatnich słowach wielkiego pisarza nawołującego naród niemiecki do jedności i duchowego odrodzenia, do piękna i prawdy. I czyż nie jest wzruszająca ta ostatnia już podróż do Weimaru przeszło osiemdziesięcioletniego starca, który zupełnie nie myśląc o sobie odbywa ją w poczuciu obowiązku, który musi wypełnić wobec własnego narodu i ludzkości. Jego podróż do Weimaru spotkała się z niechęcią i szemraniem wielu. W jednym z listów z lipca bieżącego roku jakby w przeczuciu bliskiej śmierci pisze o tym Tomasz Mann: **„Zaiste gdybym się nie mógł na to zdobyć, żyłbym za późno".**

Tomasz Mann, wielki pisarz współczesny, uczył naród niemiecki, ludzkość całą, prawdziwego człowieczeństwa.

Stanisław Gierowski

Narodziny najpopularniejszego podręcznika

Wśród olbrzymiej ilości książek, jakie z miesiąca na miesiąc pojawiają się w witrynach księgarskich, brak ciągle jednej pozycji, która cieszyła się zawsze i cieszy niesłabnącym powodzeniem. To historia Polski.

Głębokie przyczyny powodują odkładanie wydania tej książki. Podręczniki historii Polski do r. 1939, którymi posługiwaliśmy się z braku lepszych i po wojnie, nie dawały rzetelnego obrazu dziejów naszych, wiele spraw zbagatelizowały, celowo przemilczały lub zamazywały. Były poświęcone głównie oplewaniu czynów królów, wielkich dowódców, zdobywców i zaborców państw. Takie założenia cechujące dawnych historyków utrudniały polskim masom pracującym zrozumienie historii własnego kraju, a zwłaszcza takich zagadnień podstawowych, jak powstawanie własności prywatnej, walki klas, mechaniki wyzysku społecznego czy wreszcie przesądów, które zaciążyły tak tragicznie na naszym rozwoju.

Rzetelne oświetlenie naszych dziejów wymaga jednak ogromnych prac i studiów. Wydanie uniwersyteckiego podręcznika historii musi być poprzedzone wielu pracami monograficznymi. Z kolei znowu wydania popularne odnoszące się do naszych dziejów będą miały pełną wartość, gdy oprą się na solidnych podstawach naukowych.

Szczególnie odpowiedzialne i trudne zadania czekają naszych historyków przygotowujących podręcznik historii starożytnej Polski czy li historii najwcześniejszych naszych dziejów. W dawnych podręcznikach sprawom tym poświęcano zbyt mało uwagi ze względu na zakres prac badawczych. Dzisiaj mamy głębokie przyczyny do interesowania się nasza starożytną historią, pod którym to pojęciem rozumiemy okres wspólnoty pierwotnej na naszych ziemiach.

Zbliża się 1000-letnia rocznica pojawienia się nazwy państwa Mieszka I rozumianej dotychczas błędnie jako 1000-lecie istnienia naszego państwa. Dotychczasowy stan badań naszych uczonych pozwala już dzisiaj z całą pewnością stwierdzić, że państwo nasze powstało o wiele wcześniej. **Zagadnienie początków państwa polskiego wyrosło wśród problemów nauki historycznej jako jedno z czołowych.** Głównym ośrodkiem organizacyjnym i dyskusyjnym jest kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego, które już z końcem 1949 roku zarzuciło wąską koncepcję 1000-lecia. Prowadzone na nieznaną przedtem skalę prace wykopaliskowe pozwoliły rozszerzyć bazę źródłową historii Polski starożytnej i średniowiecznej.

Aby podręcznik dotyczący tych najstarszych dziejów ujął całokształt zagadnień, muszą być wzięte pod uwagę wyniki badań nie tylko archeologów lecz również historyków, etnografów, językoznawców, orientalistów, archeologów śródziemnomorskich, historyków sztuki i wreszcie specjalistów z różnych nauk przyrodniczych.

Podręcznik tego rodzaju będzie więc pełną dłonią korzystał z wyników badań archeologicznych, które prowadzi się na terenie 26 placówek: w Biskupinie, Błoniu, Cieszynie, Gdańsku, Gieczu, Gnieźnie, Igołomii, Kaliszu, Kruszwicy, Lednicy, Łęczycy, Mieczy, Opolu, Poznaniu (3 miejsca) Ślęzy, Strzelnie, Szczecinie, Tyńcu, na Wawelu, Wiślicy, Wrocławiu, Warszawie, Łodzi.

Ogromne znaczenie mają prace nad wydawnictwami źródeł starożytnych, orientalnych, bizantyńskich i łacińskich. Ze źródeł orientalnych przygotowano do druku teksty oryginalne w języku arabskim z tłumaczeniem polskim i obszernymi komentarzami historycznymi, objęto systematyczne badania nad źródłami łacińskimi związanymi z wczesnymi dziejami Polski.

Warto tu wspomnieć choćby w kilku słowach o pracowni atlasu wczesnośredniowiecznego, nad którym pracuje 5 oddziałów terytorialnych: Oddział wrocławski sporządził kartotekę miejscowości Śląska do r. 1432 liczącą przeszło 10.000 kartek. Opracowano na podstawie materiałów leksykalnych kartotekę średniowiecznych łacińskich nazw rzemiosł i zawodów. Prowadzi się prace nad siecią dróg w Polsce do poł. XIII w. przeglądając zbiory kartograficzne w archiwach i bibliotekach. Przejrzano i sporządzono wyciągi z materiałów dyplomatycznych Pomorza Zachodniego do końca XIII wieku zawierające wzmianki o komorach celnych, brodach, przewozach, mostach. Sporządzono katalog 266 grodzisk Dolnego Śląska zawierający lokalizację grodzisk na mapach i ich kształt. Opracowano bibliografię szczątków kostnych 2.215 osób z wykopalisk na naszych ziemiach od paleolitu do czasów nowożytnych.

Wielką pomoc niesie w pracach nad historią starożytną Polski pracownia paleobotaniczna, która bada szczątki roślinności znajdowane w wykopaliskach. Pozwalają one wysnuć ciekawe wnioski na temat stanu rolnictwa i ogrodnictwa w okresie wczesnośredniowiecznym. Zaznaczył się wówczas dalszy rozwój rolnictwa uwidoczniający się w zwiększonej produkcji zbóż.

Dzięki więc żmudnym badaniom archeologów, botaników, zoologów, etnografów, całego kolektywu pracowników naukowych i technicznych coraz jaśniejszy staje się obraz naszej najdawniejszej historii. Prace naszych naukowców nabrały ogromnego rozmachu i tempa. Mają one stać się podstawą do przygotowania podręcznika, który w oparciu o tak rzetelną wiedzę da właściwy obraz naszych dziejów. Podjęcie opracowania uniwersyteckiego podręcznika historii starożytnej Polski jest przedsięwzięciem wyjątkowej wagi i odpowiedzialności.

St. Peters

Na kolonii nauczyłyśmy się wiele

Myśl o tym, że przez miesiąc wakacji czekać je będzie wiele emocji i radosnych przeżyć wywołała na policzkach uczniów rumieniec i gorące błyski w oczach.

Ach jak przyjemny będzie wypoczynek na kolonii. Jedne dzieci nad morzem, inne w górach, a jeszcze inne... w mieście.

W mieście? — zapytają niektórzy zdziwieni.

Tak, w mieście, gdzie każdy dzień kolonijny daje im coraz to nowe niespodzianki i coraz więcej radości.

Aby przyjrzeć się takiej kolonii pojechałam do Krakowa, bo tam właśnie, do szkoły TPD Nr 10 pojechały dzieci rzeszowskie.

Przybyłam rano, bo chciałam naocznie przekonać się jak upływa tam dzień. Z dala dochodził gwar budzącego się miasta. Głośne bicie zegara a zaraz potem hejnał z wieży Mariackiej obwieścił godzinę 6. Mała Krysia Basia. Janeczka i wiele innych przecierały zaspane oczy. Przeciągały się leniwie Ale trwało to niedługo Wkrótce wstały, szybko ubrały się, dopełniły swej garderoby. Trzeba się było spieszyć, bo zaraz apel poranny, śniadanie. Program na ten dzień zapowiadał się bardzo ciekawie.

Przedtem jeszcze dowiedziałam się, że na tej kolonii, zorganizowanej przez WZGS Rzeszów pod hasłem: „Wczasy w mieście uczą", bawi 122 dziewczynki, dzieci pracowników 18 PZGS, i GS województwa rzeszowskiego.

Po śniadaniu jedna grupa poszła do WDK. Zorganizowano tam poranek Mickiewiczowski oraz błyskawiczny konkurs pod hasłem: „Jak spędzam kolonię". Dowiedziałam się później, że z wyznaczonych 5 dziewczynek z Rzeszowa wszystkie otrzymały nagrody książkowe. Najpiękniej opowiadały Krysia Szuba, Lidia Morawska i Basia Walawska.

Druga grupa udała się na zwiedzanie Krakowa. Wychowawczyni Władysława Kubajakówna oprowadzała dziewczynki po najpiękniejszych i najciekawszych zakątkach miasta. Po drodze dzieci opowiadały mi, że widziały już Nową Hutę, zaś w Krakowie wystawę Wita Stwosza, Uniwersytet, Bibliotekę Jagiellońską, Kopiec Kościuszki, Smoczą Jamę i wiele innych zabytków historycznych. Ogromne wrażenie odniosły podczas zwiedzania Wawelu. Cieszyły się zapowiedzianą wycieczką do Zakopanego i przyszłym spotkaniem z dziećmi z Francji bawiącymi na koloniach w Polsce.

W tym dniu czekała uczennice jeszcze jedna radość. Kierownik kolonii Józef Szpendel zaprowadził je do fabryki wyrobów cukierniczych „Wawel". Robotnicy serdecznie witali miłych gości obdarowując je słodyczami. Lekarka kolonii Wiesława Bugacz i higienistka miały z tego tytułu wiele obaw, ale „słodka wizyta" szczęśliwie nie miała żadnych przykrych następstw. I mimo wszystko obiad smakował dzieciom również, bo ob. Anna Kurnikowa umiała im dogadzać i przyrządzać smaczniejsze jeszcze potrawy. A trzeba przyznać, że dobry apetyt dziewczynkom dopisywał, więc „repety" były dozwolone i często praktykowane.

A po smacznym obiedzie wychowawczyni Zofia Dobrzańska zwracała się z apelem do dzieci: „No a teraz proszę się rozejść do sal i grzecznie spać". Wykonanie tego polecenia pilnowały pomocnice ZMP-ówki Danuta Tułak, Apolonia Majewicz, Alina Kruczkowska, Krystyna Kowalska i Bożena Miller. Dziewczynki rozchodziły się do swoich sal i za chwilę cisza panowała w całym budynku.

Możemy więc być pewni, że nasza młodzież spędziła wakacje radośnie, wesoło i z pożytkiem. Obok zażytych przyjemności i podczas wakacji wyrabia w sobie poczucie obowiązku, oddycha też atmosferą kulturalnego środowiska i uczy się kulturalnego zachowania w licznej gromadzie. Poczucie czystości wpajano młodzieży przez codzienne współzawodnictwo higieny i czystości, by przy apelu wieczornym otrzymywały dzieci pochwałę lub proporzec przechodni.

Jak wiele dzieci skorzystały podczas tej kolonii niech świadczą słowa listu, w którym piszą m. in.:

„Stary Kraków wraz ze swymi zabytkami oczarował nas. Nauczyłyśmy się dużo.

Przed oczami stanęła nam historia, którą dotychczas znałyśmy jedynie z podręczników szkolnych. Zwiedziłyśmy wszystkie zabytki".

Pobyt na takiej kolonii wzbogacił bardzo świadomość dzieci i pozostawił na długo wiele miłych wspomnień.

(i)

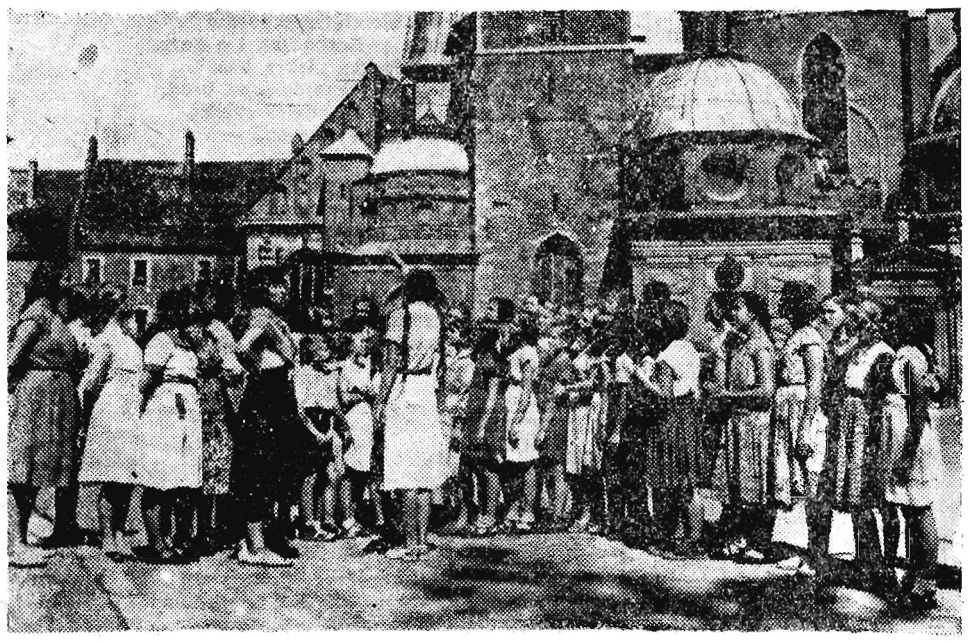

Zwiedzanie Wawelu przysporzyło dzieciom najwięcej wrażeń

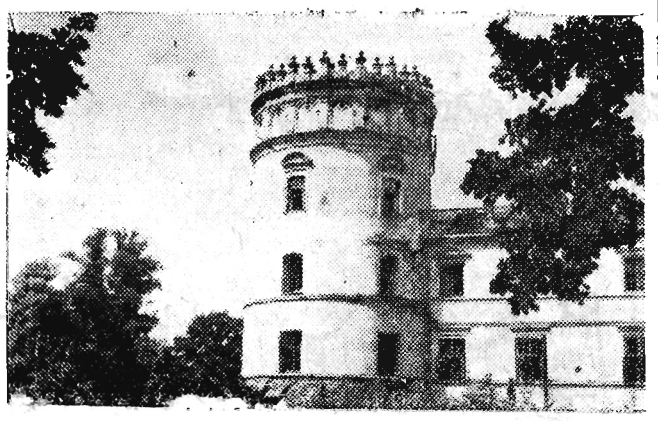

Na wzór Zamku Wawelskiego budowano w Polsce rezydencje i [illegible]mackie. Oto fragment renesansowego zamku w Krasiczynie.

Podczas wycieczki w Tatry dzieci wypoczywały przy Wodospadzie Mickiewicza.

Jerzy Hordyński

O CHOPINIE Z DUSZNIK

Dotykam lekko ciemnego igliwia,
oddalam mgłę,
ale krajobraz wciąż mi się sprzeciwia
gasnącym tłem.

Aleją chodzi jakieś przypomnienie,
czyjś jakby ślad,
drzewa na jesień chore i westchnienie,
które on zgadł.

Sentymentalna pora nagli wieczór
inny, niż tam...
i ciszę znowu słowa okaleczą
spóźnionych dam.

Znów koło źródła przystanie marzenie,
a w gwiazdach lęk
i szepnie któraś „Teraz po Chopinie
jeszcze drży dźwięk".

Bo tutaj muzyka na ścianach zmierzchu,
z milczenia ton,
choć łuk powietrza zabił czas i przestrzeń
nad jego grą.

I on przeleci w strunie bezszelestnej
biały, jak mgła,
albo jak blade, zapomniane wiersze
ukryte w łzach.

Kongres astronautyczny 1955

W dniach od 1 do 5 sierpnia br. obradował w Kopenhadze szósty z rzędu Międzynarodowy Kongres Astronautyczny. Około 150 uczonych, fizyków i astronomów, inżynierów i techników z 16 krajów świata wzięło w nim udział. Na razie wiadomo, że obrady dotyczyły przede wszystkim wyrzucenia pierwszego sztucznego księżyca.

Na posiedzeniach kongresu pojawili się jako obserwatorowie ze strony Związku Radzieckiego — profesorowie Ogorodnikow i Siedow, członkowie Akademii Nauk ZSRR.

Oto w maju bież. roku dowiedzieliśmy się, że przy Radzie Astronomicznej ZSRR w Moskwie został utworzony specjalny Komitet dla spraw podróży miedzyplanetarnych. Zajął się on przede wszystkim właśnie ustaleniem naukowych i technicznych podstaw do zaplanowania, zbudowania i wypuszczenia w przestrzeń pierwszego sztucznego księżyca.

Twór taki, stosunkowo nie wielkich rozmiarów, miałby okrążać Ziemię z prędkością około 8 kilometrów na sekundę i poruszając się w odpowiedniej odległości od powierzchni Ziemi w sferze próżni międzyplanetarnej, krążyłby wiecznie w myśl praw mechaniki planetarnej podobnie, jak to czyni Księżyc prawdziwy.

Różne aparaty pomiarowe i badawcze, pracujące automatycznie i rejestrujące różne zjawiska przyrody zachodzące w przestrzeni pozaziemskiej, samoczynnie w drodze radiowej podawałyby stacjom obserwacyjnym na Ziemi wyniki swych obserwacji.

Zebrane w taki sposób dane pozwoliłyby ustalić komplet wiadomości co do warunków panujących w przestrzeni, aby uzyskać podstawy naukowe i techniczne do zaprojektowania i budowy pojazdów rakietowych, obsługiwanych już przez ludzi.

W sierpniu 1955 przyszły wiadomości z Ameryki, że także tam projektuje się skonstruowanie jednego czy nawet kilku podobnych sztucznych księżyców, które mają spełniać podobne cele i pracować w podobny sposób jak aparaty projektowane przez Związek Radziecki. Stany Zjednoczone zaprosiły do współpracy wszystkie narody świata. W imieniu Związku Radzieckiego Chruszczow oświadczył gotowość do współpracy z Ameryką na tym polu, jak donosi o tym dnia 2 sierpnia organ angielskiej K. P. — „Daily Worker".

Równocześnie niemal profesor Massey, prezes komitetu międzyplanetarnego w brytyjskim „Royal Society" oświadczył, że także Anglia zamierza w najkrótszym czasie zbudować swój sztuczny księżyc dla celów badawczo-naukowych.

Do niedawna tylko marzyciele i entuzjaści rakietowi mierzący siłami swych marzeń niedosiężne zamiary podbicia przestrzeni, omawiali serio takie utopie, jak stworzenie przez człowieka i wypuszczenie w przestrzeń sztucznego ciała niebieskiego oraz sprawy komunikacji międzyplanetarnej.

Dziś zabierają się do dzieła organizacje państwowe, dysponujące olbrzymimi środkami materialnymi. „Rakieciarze", którzy jeszcze parę lat temu byli zupełnie osamotnieni w swoich poczynaniach, dożyli niebywałego triumfu. Ich upór w badaniu i rozwijaniu zagadnień rakietowych, ich uporczywa praca przez blisko pół wieku, próby i doświadczenia, podczas których nie obeszło się bez śmiertelnych ofiar (Talier, Tilling itd.), skutkiem przedwczesnych wybuchów materiałów palnych, doprowadziły wreszcie do przełamania martwego punktu.

Tak jak rok 1954 jest znamiennym początkiem epoki pokojowego wyzyskania energii atomowej, tak rok 1955 zwiastuje nadejście ery rakietowej, którą zainicjował w roku 1903 w Rosji pionier rakiety — Konstanty Ciołkowski, syn Polaka z Wołynia.

Odwieczne marzenie ludzkości: lot ku gwiazdom, przepowiadany przez setki pisarzy fantastycznych (Lukian Kamosaty, Kepler, Cyrano de Bergerac, Verne, Żuławski itp.), wydaje się być już bliskim urzeczywistnienia. Wstępujemy w erę rakietową.

E. Białoborski

„Przyjaciele" w teatrze Fredreum

Aleksander Fredro znany jako autor „Zemsty", „Ślubów panieńskich", czy „Pana Geldhaba", był twórcą całego szeregu komedii, drobiazgów scenicznych, jednoaktówek, dziś prawie nieznanych, spoczywających gdzieś w bibliotekach. Wśród tych utworów spora ilość należy do tak zwanych komedii pośmiertnych, poznanych dopiero po śmierci autora. Ich wartość artystyczna nie jest tak wysokiej rangi, jaką słusznie chlubią się utwory pisane ręką młodziutkiego oficera wojsk napoleońskich, brak im rumieńców życia, są nieco wyblakłe, humor ich jest daleki od humoru jakim skrzą się „Damy i huzary", a przede wszystkich nieśmiertelna „Zemsta". Patrzymy na nie z szacunkiem, wyszły bowiem spod tego samego pióra co wspomniane wyżej arcydzieła i częstokroć pietyzm i szacunek jakim się je otacza nie pozwala nam dojrzeć ich wartości sprowadzonych do właściwych rozmiarów.

Podobnie ma się rzecz z „Przyjaciółmi". Jedną z zasadniczych wartości tej komedii są bogate rysy autobiografii jakie zawarł w jego strofach Fredro. We wzajemnych stosunkach Zofii i Zdzisława można dopatrzeć się analogii do długotrwałej znajomości Zofii Skarbkowej z autorem „Przyjaciół". Co prawda tej ostatniej Boy nie szczędzi zjazdliwych słów, którym trudno nie przyznać racji: „Siedzi ten Zdzisław, na wpół jako rezydent ubogiej hrabiny, w której się kocha, nie mając odwagi się jej oświadczyć, a nawet domyśleć się wzajemności Zofii. I on odgrywa również rolę dość głupią i co gorsza nudną, póki autor w zmiłowaniu swoim na przekór całej jego niezaradności, (Zdzisława) nie wybawi go z niej. Przyjaźń dla Czesława i poświęcenie Zdzisława, rzekomo dla tej przyjaźni nie ratuje jego fałszywej roli.

Tak, trzeba jeszcze raz stwierdzić, że młodym ułanom fredrowskim nie szczęściło się w zamiarach miłosnych i autor raz po raz musiał przychodzić z pomocą. Wyjątek stanowi tu Gucio z „Ślubów panieńskich", ten dawał sobie radę doskonale.

Do tego rodzaju refleksji nastraja ostatnia premiera „Fredreum" 4-aktowa komedia „Przyjaciele" wystawiona niedawno w teatrze przemyskim.

Przedstawienie reżyserował Marian Stupnicki, grając rolę Smakosza. Para konkurentów starających się o rękę pięknej i bogatej Zofii — znalazła bardzo dobrych wykonawców w Stefanie Żółtowskim i Stanisławie Kieuzie. Panna Bobine — Elżbiety Dramińskiej była bardzo zabawna co jest najważniejszym elementem w roli tej zadzierżystej i sprytnie łowiącej mężów Francuzeczki. Ułani Czesław i Zdzisław nie mogli wnieść nic nowego na scenę, bo nie mieli odpowiedniego tekstu. Dlatego Stanisław Bukład i Antoni Sander ograniczyli się do dziarskiego maszerowania po scenie i obnoszenia zgrabnych mundurów. Majordomus — Krupkowski, którego kaprys panny Zofii skazał na chodzenie we francuskim fraczku, czuł się w tym mocno, mocno skrępowany, i nie wygrał odpowiednio całego szeregu komicznych momentów w tym tekście.

Całość otrzymała miłą dla oka oprawę dekoracyjną, dobry był zwłaszcza pomysł użycia podestu, pozwolił bowiem na skomponowanie kilku ładnych scen. Kostiumy utrzymane w spokojnych kolorach doskonale harmonizowały z pastelowymi kolorami dekoracji. Scenografem była Hanna Krupińska. Pewne uzasadnione pretensje pod adresem scenografa może mieć Zofia za nieładny kostium z I i II aktu.

Komedia „Przyjaciele" jest którąś z rzędu premierą mało znanych komedii Fredry, jakimi teatr przemyski od dłuższego czasu karmi publiczność. Czym tłumaczyć tak daleko posunięty kult dla patrona teatru?

Marian Stupnicki aktor i reżyser, którego nazwisko powtarza się we wszystkich bez mała przedstawieniach komedii fredrowskich tłumaczy to ambicją teatru pragnącego pokazać Przemyślowi olbrzymi dorobek patrona zespołu. Jednakże nam wydaje się, że za tym kryje się pewne niebezpieczeństwo. Bowiem dorobek pisarski Fredry nie jest jednolity. Są tam obok arcydzieł utwory znacznie słabsze, które nie zdołają porwać dzisiejszej publiczności. Dlatego warto podyskutować nad celowością tej właśnie linii repertuarowej. Przy takich założeniach Przemyśl zostałby skazany na oglądanie wyłącznie utworów Fredry, a to jest stanowczo za mało. Czy nie lepiej byłoby pokazać i innych wartościowych autorów, zupełnie nieznanych Przemyślowi? Poszukać warto, dobrych sztuk nie brak, a widownia na pewno przyklaśnie temu gorąco.

Wiesław Głowacz

Byłem w knajpie — ale nie byłem...

(*monolog uczciwego męża*)

Zwrócił się do mnie pewien obywatel z Tarnowca powiat Jasło;

— Wytłumacz, kochany redaktorze mojej babie, że nie ma racji. Wracam kiedyś wieczorem do domu a ona jak mnie nie rąbnie wałkiem w głowę, jak mnie nie grzmotnie między żebra, jak mnie tam i tu, że do dzisiaj, choć od tego czasu minęło już kilka dni, mam sińce i guzy. Ale to jeszcze nie wszystko. Najgorsze te „ciche dni" — to znaczy, że od tego czasu odezwać się do mnie nie chce. A tłumaczę jej przecież i we dnie i w nocy... Na wszystkie świętości zaklinam, że nie byłem w knajpie — wprawdzie coś niecoś wypiłem — ale nie byłem w knajpie, tylko na zebraniu. Nie chce mi uwierzyć. Coś to tłumaczenie widzi się jej niejasne.

Kiedyś w nocy to już zaczęła się załamywać.

— Słuchaj Kunegundziu — mówię jej do ucha żeby dzieciaków nie pobudzić — już się nie gniewaj, przysięgam ci na naszą miłość (to jest taka największa przysięga), że nie byłem w knajpie...

— Naprawdę nie byłeś???

— Nie byłem Kundziu!

— Na naszą miłość???

— Na naszą miłość!!!

— A przecież zalatywała od ciebie gorzałka...?!

— Widzisz, przesiąkłem tym zapachem bo byłem...

— Mówiłeś, że nie byłeś. Wynoś mi się...

— I na nic moje gadanie. Do dziś nie odzywa się do mnie. a jak coś potrzebuje to przez dzieciaki załatwia.

Gdzie szukać sprawiedliwości? Jestem już przecież starszy, stateczny człowiek i nie będę z gęby cholewy robił. Powtarzam jeszcze raz; byłem na zebraniu.

A było tak: siedzimy spokojnie w kącie świetlicy gromadzkiej i radzimy.

Akurat mój sąsiad Wojciech zabrał głos gdy z drugiego końca zaczęli się wydzierać;

— „Spostrzegłem dzisiaj pierwszy siwy włos na mojej głowie"...

A inny głos dokończył:

— „A wódki napijemy się dużo ogromnie"...

— Cicho tam — krzyknął Wojciech, ale z drugiego kąta odpowiedziano;

— Nie denerwuj się Wojciechu. Co tam będziecie radzili, napijemy się razem...

No i przyłączyli się do nas, a ponieważ ci co się do nas przysiedli byli już pod gazem więc ten „gaz" przesiąkł też nas z zebrania. Nie pamiętam, może przez — pomyłkę zamiast piwa łyknąłem trochę wódki ze szklanki sąsiada....

Ale do knajpy nie chodziłem i przez cały czas byłem na zebraniu i to w świetlicy. Mam nawet na to świadków.

Aha, tutaj muszę wyjaśnić, że u nas w Tarnowcu (pow. Jasło) świetlica i knajpa znajdują się w jednej sali. Gminna Spółdzielnia dba bowiem bardzo o to aby wszyscy radzili na wesoło, więc w tej sali, gdzie młodzi mają świetlicę, urządziła bar nr 14. A jak tylko trzeba odbyć zebranie koła ZMP, OSP czy Koła Gospodyń to jedni radzą w jednym kącie zaś w drugim pijacy wyśpiewują swoje śpiewki. Prośby żeby by li cicho nie pomagają. O, kiedyś zebrały się kobiety z Koła Gospodyń. Ale jakiemuś pijanemu nie podobało się i z tego zebrania wszystkie baby poprzeganiał...

Mówiłem o tym wszystkim mojej starej, ale ona nie chce w to uwierzyć. Widocznie nie może się jej w głowie pomieścić, że to może być prawda.

— Jak to — mówi — żeby w „kulturze" wódkę sprzedawa li... e, bajanie...

A przecież tak jest. Wszyscy mogą poświadczyć. A może by tak samego prezesa GS do baby przyprowadzić? Niech ją przekona, że nie byłem w knajpie tylko na zebraniu w świetlicy. Tak będzie chyba najlepiej.

* * *

Ale już muszę uciekać bo jadę do baru w Tarnowcu. Nie, nie — proszę nie myśleć nic złego. Jadę na.... zebranie. Oczywiście!

Na podst. koresp. W. Ś. — oprac. J. W.

Pionkiem o jedno pole

W ostatnich mistrzostwach szachowych ZSRR wyróżnił się wybitnym talentem szachowym 19-letni student z Leningradu Borys Spasski, dzieląc wysokie miejsce w turnieju z mistrzem świata M. Botwinnikiem. Podajemy jedną z jego partii efektownie wygraną czarnymi z mistrzem W. Simagnem.

Otwarcie Retiego. Białe: W. Simagin Czarne B. Spasski 1.c4 Sf6 2. Sf3 e6 3. b3 d5 4. Gb2 c5 5. e3 Sc6 6. a3 (ten ruch jest stratą tempa, lepsze c x d s x d5 i Ge2 z przygotowaniem d4) 6... Ge7 7. c x d5 e x d5 8. d4 c 5 x d4 9. S x d4 o-o 10. Ge2 Gd6 11. Sd2 Sxd4 12. G x d4 Gf5 13. o-o Wac8 (Nie biorąc pod uwagę izolowanego piona d5, czarne mają wspaniałą pozycję, dla tego, że panują nad otwartą linią c) 14. Wa2 (broni przed wtargnięciem czarnej wieży na pole c2 i przygotowuje przerzut hetmana na diagonolę a1 — h8) 14... Gb8 15. Ha1 Hd6 16. g3 (Na 16. Sf3 Spasski przygotował 16... Sg4 Ruch 16. f4 osłabiły pozycję białych) 16... Wf — e8 17. sf3 Gh3 18. Wf — e1 Se4 (Spasski śmiało ofiarowuje piona i to jednego z tych, które ochraniają króla. Śmiałe ryzyko charakterystyczne dla stylu gry młodego mistrza wspaniale orientującego się w ostrych i skomplikowanych pozycjach) 19. G x g7 (Należało grać 19. Sd2 przypuszczalnie z równymi szansami) 19... Hg6 20. Ge5 G x e5 21. S x e5 H f5 22. f4 (nie ratowało i 22. Sf3 z powodu 22. Gg4 23. Kg2 Sc3 24. Sd4 He4+) 22... f6 23 Sf3 Sc3 24. Sh4? (prowadzi do szybkiej katastrofy. Prawda że i po 24 Sd4 Hg6 24. Gf3 Hd3 czarne mają rozstrzygającą przewagę pozycyjną) 24... He6 25. Ge2 — h5 Sxa2 25. G x e8 Wc1 (efektowne zakończenie Nie wolno 24. W x c1 z powodu 27... H x e3 + 28. Kh1 S x c1) 27. H x c1 S x c1 28. Gb5 a6 i białe poddały.

I. Z.

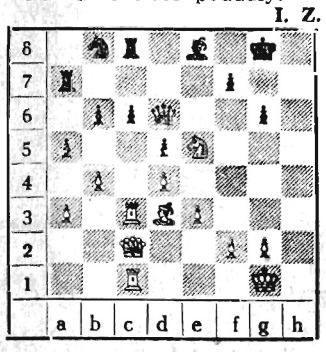

POZYCJA Nr 4

białe zaczynają i wygrywają

białe: Kg1, Hc2, Wc1, Wc3, Gd3, Se5 piony a3, b4, d4, e3, f2 i g2 (12)

czarne: Kg8, Hd6, Wa7, Wc8, Sb8, Ge8 piony a5, b6, c6, d5, f7 i g6 (12).

I. Z.

Nowości filatelistyczne

Poczta ZSRR wydała w roku obecnym serię znaczków pocztowych — „Przyjaźń [illegible] dziecka".

Znaczek wartości 1 rubla, którego autorem jest słynny artysta grafik E. N. Gundobin jest reprodukcją słynnego obrazu Jana Matejki — „Kopernik".

JAK.

Nie trudno zgadnąć

LOGOGRYF (4 punkty)

Według pomysłu Jacka Paczosy z Krosna

W kratki rysunku wpisać 16 sześcioliterowych wyrazów o następujących znaczeniach. A) przepływa przez Rzeszów, b) ciało niebieskie c) otwór wulkanu, d) miasto powiatowe w naszym województwie e) ostrze broni białej f) miasto w woj. poznańskim (jedno z najstarszych w Polsce) g) sieczna broń staropolska, h) naturalny podział na składniki i) zazdrość j) części dekoracji teatralnych k) zasłona z tkaniny l) najczęstsza nagroda przechodnia m) miejsce pracy n) choroba epidemiczna o) postać z „Potopu" p) staroświecka kareta.

Litery, które znajdują się w kółeczkach, winny dać imię i nazwisko uczonego i męża stanu z okresu rozbiorów Polski, zaś oznaczone liczbami, kolejno ułożone — jego wiekopomne dzieło zdążające do poprawy stosunków.

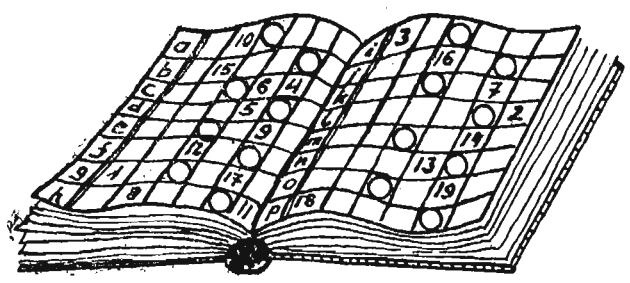

Zagadka (1 punkt)

Pół litery — zwykle z drzewa

Każda prawie kuchnia miewa

Być też może w sklepie, w składzie

A w pokoju nie zawadzi.

Za trafne rozwiązanie zagadek, przesłanych do 14 dni pod adresem redakcji z dopiskiem „Rozrywki umysłowe" są przeznaczone do rozlosowania 3 nagrody w postaci bonów książkowych. Przypominamy, że warunki „Konkursu wytrwałości", który obejmuje zagadki w dziesięciu kolejnych numerach „Nowin Tygodnia" podano w Nr 23 (269).

Historia bez słów

Jan Bester

OPIEKUNOWIE

(Kantata na amatorski chór z orkiestrą)

I.

Jak tu nie chwalić takich czasów?
Sztuka się staje chlebem rzesz.
Szlachetne plemię mecenasów
Rośnie nam w liczbę, jak i wszerz.
Kto zaś obdarzon „iskrą bożą",
Ten opiekunów znajdzie w bród.
A gdy tak zespół gdzieś założą,
Toż to się dzieje istny cud —

Nagle pchają się do steru:
Trzech zażywnych buchalterów,
Jeden prezes, dwóch działaczy,
Pół tuzina ustawiaczy,
Siedem związków, cztery ligi —
Wszyscy rządzą na wyścigi!
Zwykły członek w tym ferworze
Dojść do słowa już nie może...

II.

Zanim zabiorą głos talenty,
Sporo przyziemnych czeka spraw.
Potrzebne stroje, instrumenty,
A częściej sala, parę ław.
Ach, te wstydliwe flirty z kasą...
A kasa pusta, bo i skąd?
Trzeba się kłaniać mecenasom,
Lecz towarzystwo zmienia front.

Chowa głowy wśród papierów
Trzech zażywnych buchalterów,
Jeden prezes, dwóch działaczy,
Pół tuzina ustawiaczy.
Siedem związków, cztery ligi
Opędzają się na migi.
Sił ostatkiem zespół orze,
Lecz wyprosić nic nie może...

III.

O prozo życia! Zimno w nogi.
Gdy chuchnąć, para idzie z ust.
W ponurej szopie bez podłogi
Ćwiczą wybrańcy swojskich muz.
I pierwszy występ. Sukces! Brawa!
Nagłe zachwyty z wszystkich stron.
A potem prasa, radio, sława...
No i na koniec — nagród plon.

Stają w rzędzie do orderu:
Trzech zażywnych buchalterów,
Jeden prezes, dwóch działaczy,
Pół tuzina ustawiaczy,
Siedem związków, cztery ligi —
Zasłużone, stare wygi!
Tylko zespół tam, nieboże,
Nijak dopchać się nie może...

Nasza zagadka

Jaki istnieje sposób na szybkie i łatwe zdobycie dobrego biletu do kina Domu Kultury WSK w Mielcu?

Jak długo jeszcze potrwa taki stan rzeczy?

Odpowiedź

Istnieje niezawodny sposób; należy się zapoznać z kasjerką tamtejszego kina i dla „znajomków" — drogą do kasy biletowej otwartą... tylnymi drzwiami.

Na to drugie pytanie odpowie kierownictwo Domu Kultury z Mielca. Można zatelefonować i zapytać się.